XII Kraków, 15 czerwca 1909. Nr. 12.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki, 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków**, Zacisze 7. Telefon Nr. 479.

— Ożeń się ze mną staruszku, a ręczę ci, że będziesz opływał we wszystko, jak pączek w maśle!...

— Kiedy... widzisz moja duszko... ja pływać nie umiem, więc się boję...

Tureckie reformy.

Basza (do podwładnych):

— Moje dzieci, bardzo mi żal, że będę was teraz musiał dusić jeszcze bardziej, ale wiedzcie, te szelmy Młodoturki obcięli mi paskudnie pensyę, a tu człowiek musi przecież żyć!

Odaliska:

— Proszę panienki mam surowy rozkaz, by ją natychmiast wydalić z pałacu! Proszę mi tego nie brać za złe... rozkaz to dla żołnierza rzecz święta!

— Dobrze panie majorze... Zastosuję się do życzenia, ale proszę mi poradzić, co ja mam teraz zrobić ze sobą? Nie znam nikogo w Konstantynopolu, nie wiem, gdzie się obrócić!

— Niech się pani uda do Dyrekcyi policyi i każe sobie dać... książeczkę!

Kat:

— Ha... bakczynów odtąd brać nie wolno, ale dzięki Allachowi zarabiam teraz przynajmniej więcej dyet...

Kurd:

Nie wolno zabijać Armeńczyków? Zgoda... bracia bierzmy się do Turków!

Przywódca rozbójników:

— O! Konstytucya to jest wspaniała rzecz. Teraz widzę, że mój przyjaciel Kulfon-bej miał racyę, gdy twierdził, że skoro się człowiek dostanie do parlamentu jako poseł, to nie trzeba już rozbijać po drogach... zarobek uczciwszy znajdzie się na miejscu, to z głodu się nie zginie!

Tańczący derwisz:

Każą się młodoturcy kręcić „w lewo“, gdy staroturcy wołali „na prawo“ — mnie wszystko jedno! Co mi na tem zależy, w którą stronę, byle był dochód!

Autentyczne.

W jednym z handelków krakowskich, do którego uczęszczali zwykle akademicy, znalazł się raz jakiś jegomość. Gospodarz lokalu widząc obcego, a sądząc, że ma przed sobą akademika, który z końcem półrocza przybył po „testę“ z prowincyi, zwraca się do niego i zapytuje uprzejmie:

— A panu doktorowi czem mogę służyć?

— Ja nie jestem żaden doktór! — woła zaperzony przybysz — proszę mnie nie obrażać! Ja jestem uczciwy krawiec!



DZIWNY WIERZYCIEL.

Sam — nie będąc zbyt bogaty,
Wiem już co to wierzyciele
I z własnego doświadczenia
Harpagonów znałem wiele!

Ktoś od kogoś grosz pożyczy,
A nie przywykł brać jałmużny,
To na termin oddać musi
Lub odrobić, co jest dłużny!

Lecz choć ten proceder idzie
Naturalnym trybem rzeczy,
Znam fakt pewien, co zasadzie
Tej uznanej — całkiem przeczy!

Żyła pewna aktoreczka
Na poddaszu w strasznej nędzy —
Litościwy pewien hrabia
Raz pożyczył jej pieniędzy!

Poprzysięgła na zbawienie,
Że jak dla niej cześć jest święta,
Dobroczyńcy swemu odda
Wszystko, wszystko — co do centa!

Gdy płatności przyszedł termin,
Gołą była zaś aktorka,
Zacny hrabia nie nalegał,
Lecz dołożył jeszcze z worka!

I tak stale już bywało:
Nie dostawał od niej centa,
A tymczasem wzrastał ciągle
I kapitał i proceta!

Więc, gdy stracił już nadzieję
Odbierania — dobry hrabia,
Sam wierzyciel u dłużniczki
Pożyczony grosz — odrabia!...

Pytanie i odpowiedź.

— Co to jest ten bośniacki bank agrarny, o który tak się kłócą nasi politycy?

— Widzisz mój drogi, jest to taka instytucya, która austryackie pieniądze przyjmuje do węgierskich kas, ale na bośniacką hipotekę!

Z urzędowej gazety.

Berlin: Henryk Heine z Achilleion *na własne żądanie* przeniesiony w stały stan spoczynku.

Justitia regnorum fundamentum.

W stanisławowskim sądzie krajowym służył jako auskultant Dr Jarosław Połubiński, cieszący się bardzo dobrą opinią i uchodzący za zdolnego prawnika. Pokazało się jednak, iż jest to Jan Partyka, syn szewca, który napędzony niegdyś z szóstej klasy gimnazyalnej, sfałszował potem swe świadectwa i dyplom doktorski i na tej podstawie otrzymał niniejszą posadę. Ale do zdemaskowania go nie przyczynił się wcale brak zupełny wiadomości prawniczych, ani okoliczność, iż od lat dziewięćdziesiątych ścigany był za fałszerstwo listami gończymi, ale przyszło doniesienie z Bośni, gdzie po ucieczce z Krakowa pełnił także obowiązki sędziowskie!

Biedna Temida, która ma takich kapłonów! Ale prawda, iż ma ona oczy zawiązane!

PAMIĄTKI PRZESZŁOŚCI.

Szesnaście mając latek
Już miała powołanie,
Zdecydowała matka:
„Aktorką niech zostanie!“

I w czas niedługi była
W szerokich kołach znana,
Na scenie miała brawa
Za sceną — wciąż szampana.

Gdy zeszła owa gwiazda
Z teatru horyzontu,
Nikogo nie zdziwiła
Ta nagła zmiana frontu.

Dziś — mieszka na poddaszu,
Gdzie miasta jest zakątek
Dla wspomnień tylko żyje
Dla wspomnień i pamiątek.

Na ścianie zeschły wieniec,
Zmurszałe lauru liście
(To wieniec od autora —
A zna go osobiście).

Pod wieńcem tuż przy ścianie
Kolebka prosta z drewna —
A w niej pamiątka żywa
Kto autor — rzecz niepewna!...



IDEAŁ.

(Humoreska).

Dwie łódki mkną po modrych falach Wisły w przeciwnych kierunkach. W jednej siedzi suchy jak szczypa młodzieniec z wychudłą twarzą, rozwianą fryzurą i książką w ręku. To Filemon Tacytowski, słuchacz filozofii; w drugiej o kilka lat starszy od niego jegomość w podróżnem ubraniu: pan Karol Saldowicz, prokurzysta warszawskiego domu bankowego „Waweldorf i Ska“. Gdy obie łodzie zbliżyły się do siebie, jadący niemi spojrzeli mimowoli na siebie i w jednej chwili, jakby z jednej piersi, dały się słyszeć wesołe wykrzykniki:

— Filemon! Karol!

Przewoźnicy zatrzymali łodzie, przyjaciele podali sobie ręce.

— Skąd jedziesz?

— Z domu; od dwóch tygodni mieszkam w pewnej nadwiślańskiej wiosce. A ty?

— Ja prosto z Warszawy; jak widzisz wiozę kufer z rzeczami.

— Dokąd jedziesz?

— Do najbliższej wioski nad Wisłą, aby wyszukać mieszkanie dla mojej rodziny na lato. A ty dokąd zmierzasz?

— Nie mam żadnego wytkniętego celu; jadę na spacer.

— W takim razie, jeśli ci to nie zrobi różnicy, przesiądź się do mojej łódki i jedź ze mną.

— Chętnie — rzekł słuchacz filozofii i przeskoczywszy na łódkę przyjaciela, usiadł obok niego.

— A więc przybywasz tu na dłuższy czas — wszczął rozmowę prokurzysta. — Bardzo ładnie mój chłopcze, namozoliłeś się przez całą zimę, mądrze więc robisz, żeś przyjechał odwiedzić naszą kochaną Wisłę. Czyż może być coś wspanialszego nad tę okolicę?

— Tak! — rzecze filozof z wzrokiem w dal utkwionym. — Ślicznie tu, cudownie, natura i ludzie silni, zdrowi...

— Ale powiedzno...

Nie — przerwał filozof — powiedz ty pierwej, co słychać u ciebie w domu, co porabia żonka, dzieciaki?

— Wszystko zdrowe — rzecze zapytany — inaczej nie byłbym wyjeżdżał. Lecz dajmy pokój mojej rodzinie, a mówmy o tobie!

— Nie zwykłem mówić o sobie! — wtrącił z pewnem zakłopotaniem słuchacz filozofii.

— To nic nie szkodzi — odparł przyjaciel — zanadto jesteś skromny. Trzeba się od tego odzwyczaić. No, ostatni egzamin zdałeś?

— Tak!

— Oczywista z odznaczeniem!

— Przeceniono tę odrobinę mojej wiedzy.

— A teraz wypoczywasz po trudach?

— Rzeczywiście, bardzo się napracowałem.

— Ale już przyszedłeś do siebie; wyglądasz doskonale!

— Chwała Bogu, czuję się bardzo dobrze.

— Na twojej twarzy maluje się, jakby to wyrazić — zadowolenie.

— Jestem zadowolony, bardzo zadowolony — rzekł filozof, a chwytając Saldowicza za rękę i ściskając ją mocno, dodał. — Tak, mogę to śmiało powiedzieć: jestem szczęśliwy!

— Człowieku! — zawołał prokurzysta i wybuchnął śmiechem, aż się łódka pochyliła. — Człowieku, toś ty zakochany!

Filozof puścił rękę przyjaciela, a po jego chudej twarzy przemknął cień niezadowolenia.

— Zakochany — to wyrażenie nie jest trafne: ja kocham, tak powinieneś powiedzieć. Ale nie sądziłem, żeby cię to mogło rozśmieszyć.

— Daruj — oorzekł Saldowicz. — Śmiesznym to ja jestem. Czemu nie miałbyś być zakochanym, albo kochać, jak mówisz; przecież jesteś mężczyzną w całem znaczeniu, tylko w pierwszej chwili tak mi się to śmiesznem wydawało!

Filozof chciał coś odpowiedzieć, lecz Saldowicz widząc, że znów głupstwo palnął, nie dał mu przyjść do słowa i prędko rzekł:

— No, ale zamiast siedzieć przy ukochanej i wpatrywać się w nią jak w obraz, ty gonisz świątami?

Zapytany potrząsnął głową i szepnął:

— Ona tu jest!

— Hm! — krząknął Saldowicz napół pytająco, napół ze zdziwieniem. — Z rodzicami? — dodał.

Filozof znowu potrząsnął głową.

— Tak i nie! — a widząc zdziwienie przyjaciela, dodał: — Ona jest tutejsza, z Bielan!

— Oh!...

— Opowiem ci, jak się to stało; inaczej mnie nie zrozumiesz.

Prokurzysta potakująco kiwnął, a filozof zaczął opowiadać:

— Skoro złożyłem egzamin, postanowiłem dla wypoczynku zrobić pieszą podróż do Włocławka. Pewnego wieczora, zmęczony drogą, przyszedłem do pewnej małej wioski i tam spotkałem...

— Ją! — dokończył Saldowicz.

Filozof kiwnął głową potakująco.

— Tak — ją — tę dziewczynę! O, Boże! co za skarby wkłada Twoja dobroć w serca Twoich stworzeń, czyż jestem godny, aby mię uszczęśliwiał takim aniołem!

Z facecyi autentycznych.

W pewnem galicyjskiem gimnazyum był zwyczaj, że gdy który profesor kichnął podczas lekcyi, uczniowie wołali głośno: *sit saluti!* Powstawał przy tem taki hałas, iż upłynęło zawsze kilka minut, nim nastała cisza, i lekcya mogła się rozpocząć na nowo. To nie podobało się jednemu z młodszych nauczycieli, który znany był z wielkiej surowości i dlatego też nie cieszył się sympatyą swych słuchaczów. Ów młody pedagog wyprosił sobie raz na zawsze, by dano spokój z życzeniami, jeśliby przypadkiem kichnął, gdyż w instrukcyi, wydanej przez Radę Szkolną krajową niema o tem wcale wzmianki. Niestety w dniu, w którym wydano ów zakaz, jeden z uczniów znany z dobrego humoru i dowcipu (który wyrobił sobie czytując stale *Bociana)* był właśnie nieobecny, koledzy zaś zapomnieli go poinformować o życzeniu swego światłodawcy.

Gdy po kilkudniowej słabości znalazł się znowu w klasie, nieszczęście chciało, że pan profesor kichnął. Nastała cisza, którą przerwał tylko pojedyńczy głos:

— A żebyś pękł!

Był to głos owego ucznia, który nie wiedział o zakazie i spodziewał się, że po kichnięciu rozlegną się gromkie życzenia *sit saluti!*

* * *

Temu samemu profesorowi wydarzył się również i inny przypadek. Jak wyżej wspomniano uczniowie go nie lubili, to też wchodząc raz do klasy, ujrzał wcale udatną swą podobiznę, jadącą na świni, wymalowaną na tablicy przez któregoś z uczniów. Nie mówiąc ani słowa, cofnął się szybko i udał na skargę do dyrektora. Tymczasem uczniowie, spodziewając się przykrych następstw, zmazali szybko postać profesora, zostawiając na tablicy tylko wcale zgrabną świnkę, galopującą sobie wesoło.

Po chwili otwierają się drzwi, profesor wprowadza dyrektora i nie patrząc na tablicę powiada:

— O... proszę pana radcy, mój portret!

Dyrektor, który miał krótki wzrok, założył okulary, popatrzył się na tablicę, potem zwrócił wzrok na wzburzonego profesora i rzekł poważnie:

— Wie pan kolega... nie widzę wcale tego uderzającego podobieństwa, o którem pan wspominał na korytarzu!

W klasie zerwał się ryk formalny, profesor popatrzył na tablicę i z kolei sam zbaraniał...

Z Gastein.

Pewien znany w Europie książę, który tu przybył na kuracyę, musi ze względu na obyczajność z polecenia zarządu zdrojowego używać przy zabiegach leczniczych tylko *damskiej* usługi.

ŻYWA ILLUSTRACYA.

Choć człowiek czasami
Uczciwie i nie zje,
W mych czasach młodości
Pisałem poezye!

Sonety, oktawy
Kunsztowne tercyny
Na cześć mej kochanki
Prześlicznej dziewczyny!

Myślałem, że z wierszy
Zarobię co grosza,
Tymczasem redaktor
Je rzucał do kosza!

Na pomysł więc wpadłem
W nadziei, że zmięknie
I znowu tryolet
Zrobiłem przepięknie!

Przez moją kochankę
Te wiersze posłałem,
By poznał, kto uczuć
Mych był ideałem!

Z pewnością, że przyzna
Natchnieniom mym racyę,
Gdy ujrzy niejako
Mych prac illustracyę!

Lecz to mi na przyszłość
Nauką zostanie —
Gdyż tylko w połowie
Zyskałem uznanie!

Co zrobił redaktor
Nie taję nikomu:
Wiersz rzucił *do kosza*
A ją wziął — *do domu!*

ʘʘʘ

Pobożne westchnienie króla Piotra.

Król Piotr serbski zrobił, jak wiadomo, bardzo dobry interes na spodziewanej wojnie z Austryą, gdyż spekulował na giełdzie i dzięki temu zupełnie uczciwie „uciułał“ sobie kilkanaście milionów. Nic też dziwnego, że pewnego dnia siedząc przy czarnej kawie i puszczając dymki prawdziwego *portorico*, rzekł do siebie:

— No... jeszcze jedna taka wojna, a będę milionerem! Wtedy mogą mnie Serbowie nawet zdetronizować!

Pod groźą szkarlatyny.

Jak wiadomo panuje w Krakowie szkarlatyna, która z pomiędzy dzieci szkolnych zabiera liczne ofiary. Gdy w ubiegłym tygodniu z powodu rocznicy bitwy pod Aspern uwolniono dzieci szkolne od nauki, syn pana Mateusza, szewca z ulicy Długiej, wraca zaraz po ósmej z powrotem do domu.

— A ty czego nie siedzisz w szkole? — pyta matka, zgniewana, że chłopak będzie jej rano przeszkadzał.

— Bo proszę mamy pan *psor* kazał nam iść do domu!

— A to z jakiego powodu?

— Z powodu *Aspern...*

— Co?... Jakiego *Aspern?*

— Jak mamę kocham, tak pan *psor* powiedział, proszę się pójść spytać!

— Skaranie boskie z tymi doktorami — konkluduje mama w swej naiwności — znowu wymyślili jakąś nową chorobę na moje strapienie. Zamiast siedzieć w szkole, będzie mi bęben zawadzał całe przedpołudnie!

Powód obciążający.

Trybunał udał się na naradę, aby zawyrokować o winie i karze złoczyńcy. Jednakowoż głosy są podzielone, przewodniczący i jeden z wotantów są za wymiarem kary jednorocznego więzienia, dwaj inni wotanci są tylko za sześciu miesiącami. Nagle wstaje jeden z radców, który był za mniejszą karą i powiada:

— Moi panowie, proszę się spieszyć, gdyż czuję gwałtowną potrzebę... i muszę wyjść!

— Bardzo dobrze! — rzecze na to przewodniczący — przyłącz się pan do naszego wniosku, a narada skończona!

I tak się stało. Pan radca z arkuszem bibuły pospieszył w zaciszne ustronie, a winowajca zamiast sześć miesięcy otrzymał rok!

Przewidująca.

Ilonka, córka węgierskiego gospodarza, już w młodym wieku była zgrabna, fertyczna i zakochana, które to zalety i w późniejszem życiu, gdy została żoną poważnego obywatela rozwijały się coraz piękniej. Ilekroć mąż przybył do domu, przyskakiwała do niego z tyłu niespodzianie, zasłaniała mu obiema rękami oczy i nie puszczała ich, dopóki nie zgadł, kto to taki. Naturalnie udawało mu się to zawsze. Ilonka nie zaniechała jednak i po miesiącach wspólnego pożycia tej zabawy, co i staremu mężowi bardzo przypadało do gustu.

Gdy matka Ilonki przybyła w odwiedziny do nowożeńców, przyjemnie była zdziwioną dobrobytem, jaki tam panował, oraz zgodą i miłością, jaką zauważyła w pożyciu obojga małżonków. Spostrzegła też zaraz owo zasłanianie mężowi oczu przez Ilonkę i zapytała ją o powód.

— Wie mama — odrzekła Ilonka, spuszczając oczy i rumieniąc się lekko — mogłoby się czasem zdarzyć, iż będzie ktoś u mnie w odwiedzinach, a nie chciałabym, by go mąż zobaczył. Zakrywając mężowi nagle oczy, tem samem dam sposobność gościowi, by się na czas ukrył. Trzeba wczas myśleć o tem i przyzwyczajać męża, potem byłoby zapóźno!

Mądra mama, widząc, iż rady jej, jakie dała córce przed ślubem nie poszły w las, przycisnęła ją czule do serca i wycisnęła na jej czole gorący pocałunek macierzyńskiego uznania.

— Czyś się już zaręczył?

— Jeszcze się nawet nie oświadczyłem! — odrzekł zapytany — ale wiem, że ona mnie kocha; widzę to po blasku jej oczu, czuję w uścisku dłoni. O Boże! Czy zasłużyłem na tyle łaski, czy to nie zbrodnia, to czyste, niewinne serce kalać ziemską miłością? Czy znasz „Maciejową stodołę“ Wierzyńskiego? — to ona. Albo czytałeś „Kaśkę Bodziach“ Rymowicza — to także ona!

— Tak, tak! — potakiwał Saldowicz, chociaż utworów tych nawet tytułu nie znał.

— Pokochałem ją od pierwszego wejrzenia i postanowiłem we wsi zamieszkać. Wynająłem sobie izdebkę naprzeciw domu, w którym ona mieszka i codziennie widzę ją przy robocie, cieszę się jej pilnością i myślę, jak ona to u mnie będzie gospodarować. Najpiękniejszą dla mnie chwilą są nasze rozmowy wieczorne. Och! Cóż to za naiwność i prostota, która jest obcą kobietom światowym. Rozmawia ze mną o wszystkiem i to z taką naturalnością i niewymuszonością, że niejednokrotnie czuję pewne zakłopotanie. Ale w tej jasnej duszy nie postała nigdy żadna myśl nieczysta, ani w kryształowej wodzie spoglądać możesz, aż na samo dno jej czystej duszy!

Łódka płynęła wolno i wkrótce jadący ujrzeli malowniczo roztaczającą się nad brzegiem Wisły wioskę. Przy wodzie stała wiejska dziewczyna, może dwudziestoletnia i ciągnęła na brzeg łódkę. Ubraną była po wiejsku, a ładną twarz krasił rumieniec zmęczenia.

Przyjaciele tak byli zajęci rozmową, że zauważyli dziewczynę dopiero wtedy, kiedy łódź ich przybiła do brzegu. Filozofowi krew uderzyła do głowy, a nieopisana radość tryskała mu z oczu.

— To ona! — szepnął prędko do ucha przyjacielowi.

Ten jednak nie czekając, jednym susem znalazł się na brzegu, a wyciągając do dziewczyny rękę, zawołał z uciechą:

— Patrzcie no, toż to Marysia! No, jak się masz?

Dziewczyna na mówiącego spojrzała najpierw z zakłopotaniem; po chwili poznawszy go, uchwyciła za rękę i rzekła:

— A, to pan Saldowicz, całuję rączki.

Skoro jednak spostrzegła filozofa, który wysiadłszy z łódki, zbliżał się zwolna, wyrwała się nagle i pobiegła ku wsi.

— No, no! — rzekł prokurzysta zdziwiony i z zakłopotaniem spoglądał za uciekającą.

Rozpromieniony i uśmiechnięty zbliżył się filozof do przyjaciela i zapytał go:

— Czy znasz tę młodą dziewczynę?

— Ależ naturalnie — odrzekł zapytany — przecież przeszłego roku była za mamkę do naszego najmłodszego synka...



RYZYKO.

„Przyjdzie dziś twój narzeczony“ —
Mówi matka do Marysi:
„Ogarń-że się plucho jakaś
„W strzępach kiecka twoja wisi!“

„Weź-że cebrzyk, weź-że zgrzebło,
„I natychmiast idź pod studnię
„Ochlap se przynajmniej nogi,
„Bo już brudne są paskudnie!“

Maryś na to się zamyśla —
Widać ważne ma powody:
„A jeżeli chłop nie przyjdzie,
Czy nie szkoda czystej wody?!“



U lekarza.

Doktór (po konsultacyi): Jak się przekonałem łaskawa pani zanadto się oddaje uciechom życiowym. Mąż pani zapewne jest bardzo jeszcze młody...

Pani: Męża mego od dwóch lat niema, ale jeśli pan doktór uważa, że mam wypocząć — to mu napiszę, żeby wrócił.

W restauracyi.

Kelner: Przepraszam, ale kawiorem chwilowo nie mogę służyć. Cały zapas wyszedł nam właśnie dziś wieczór.

Gość: Jakżeż to być może.

Kelner: Ano proszę pana, w naszym hotelu zatrzymują się przeważnie goście w podróży poślubnej.

Groźba.

Kawaler (do krawca). Jak się pan jeszcze raz upomnisz — to się wogóle nie ożenię....

Niestosowne porównanie.

A. Twoją słabą stroną są kobiety?

B. Hm... hm... każdy ma swojego konika.

Różnica.

— Jaka jest różnica między mężczyzną a wołem?

— Wół już od urodzenia ma rogi, a mężczyzna dopiero po ożenieniu.

Najkrótszy sposób.

— W jaki sposób poznałeś swoją żonę?

— Ożeniłem się z nią!...

Z wojennych anegdot.

W jednym ze szpitali garnizonowych odbywała się operacya. Młody t. z. „Assistenzarzt-Stellvertreter“ zajęty był usypianiem pacyenta, lekarz pułkowy zabierał się do operacyi, gdy w tem spostrzegł, że po płaszczu pana asystenta posuwa się poważnie chrząszcz, który wleciał przez otwarte okno. Zwracając się do pomagającego żołnierza, rzecze pan regimenzarzt, wskazując ręką w stronę asystenta:

— Sanitet! Spędź to bydlę!

Żołnierz ociągał się chwilę, widząc jednak groźny wzrok swego przełożonego, skierowany na siebie, zbliżył się do asystenta i biorąc służbową postawę rzekł poważnie:

— Melduję posłusznie panie assystenzarzt, na rozkaz pana regimenzarzta ma pan odejść od stołu!

Gdy w ubiegłym tygodniu odbywała się uroczytość pamiątkowa bitwy pod Aspern, po mszy polowej mieli żołnierze dzień wolny od zajęć. Skorzystał naturalnie z tego pan kapral od „zającow“, jak w galicyjskiej gwarze nazywa się landwera i wyruszył popołudniu na Błonia ze swoim skarbem panną Kasią, pokojówką od pana radcy. W czasie spaceru opowiada jej naturalnie o przebiegu uroczystości, przy której uczestniczyć nie mogła, gdyż musiała sprzątać, a panna Kasia pyta ciekawie:

— A co panie kapral zrobił ten arcyksiążę Karol?

— Jakto, to panna Kasia nie wie — rzekł kapral z podziwieniem — toż on ustanowił właśnie dzisiejsze święto!

Po przybyciu rezerwistów do pułku, pan major odbywa *cercle*. Stanąwszy przed jednym z kadetów pyta poważnie:

— A czem pan jest w cywilu?

— Doktorem praw i koncepistą w prokuratoryi skarbu! — brzmi odpowiedź.

— Hm... w prokurakoryi skarbu? Cóż to za instytucya! Zdaje mi się, że to ten urząd, gdzie cechują się beczki i wagi? — ciągnie dalej pan major.

— Nie panie majorze—odpowiada pan kadet— jest to władza zastępująca skarb państwowy....

— Aha! No a czego może się pan tam dosłużyć? — bada dalej dostojnik.

— Z czasem mogę zostać radcą dworu, radcą sekcyjnym, ministrem...

— No... no...! Skoro pan tyle się już uczył, to dziwi mnie bardzo, że nie aktywuje się pan przy wojsku! U nas mógłby się pan dosłużyć może nawet rangi majora! Że też panowie cywiliści macie tak mało poczucia własnej godności!

Dobra rada.

Jednemu z krakowskich właścicieli handlu śniadaniowego, który narzekał, iż sprzedaje obecnie mało piwa, rzekł jeden ze sztamgastów“:

— Mogę panu dać dobrą radę, jeśli mnie pan posłucha, ręczę sprzeda pan stanowczo więcej piwa.

— No... proszę! — odpowiada skwapliwie zaciekawiony gospodarz.

— Nie dawaj pan takich wielkich kołnierzy, to jest mniej piany, więcej piwa, a stanie się zadość pańskiemu żądaniu!

— E... o tem to ja już dawno wiem! — odpowiedział z powagą kupiec.

Na prowincyi.

Do biura policyi miejskiej w pewnej galicyjskiej miejscowości, wpada zaaferowany obywatel i zastaje pana inspektora zajętego czyszczeniem fajki. Na widok przybysza odwraca się pan inspektor powoli i pyta:

— A co tam?

— Panie komisarzu dobrodzieju, do mojego mieszkania ktoś się włamał!

— E... co pan gada! Niech no pan opowie od początku!

— Wracam z żoną ze spaceru, chcę drzwi otworzyć, a tu patrzę otwarte... Owładnięty złem przeczuciem wchodzę i widzę jakiegoś obcego mężczyznę, klęczącego na ziemi, a obok niego cały stos przedmiotów wartościowych...

— A jest pan ubezpieczony od włamania?

— Naturalnie!

— No... to nas nic nie obchodzi! Niech sobie towarzystwo asekuracyjne łamie głowę!

— Ale to jeszcze nie wszystko! Gdy nas zobaczył, zerwał się szybko, uderzył żonę czemś twardem w głowę i uciekł. Zaniosłem żonę do łóżka....

— Czy może żona należy do kasy chorych?

— Tak jest!

— No... to nas nic nie obchodzi! To rzecz kasy chorych!

— Taaak?...

— Naturalnie! No i zaraz potem przyszedł pan tutaj?

— Nie... wróciłem się do swego pokoju, wziąłem z biurka rewolwer, bałem się bowiem w nocy wyjść na ulicę!

— Aha! No i zaraz pan tu się udał?

— Tak jest!

— A rewolwer ma pan przy sobie?

— Mam!

— A Waffenpass pan ma?

— Nie....

— No przecież...! — zakonkludował inspektor z tryumfującą miną — zapłaci pan dwie korony za nieprawne noszenie broni i odda pan rewolwer, a ja go odeszlę do starostwa!... A teraz dobranoc!

Z MAŁYM WYJĄTKIEM.

Za złe panu Alfonsowi
Brał ktoś w Jokej-klubie
Że z metresą swoją żyje.
Jakby był po ślubie.

Lecz w obronę swą młodzieńca
Wziął stary światowiec:
„Jakaż między obydwiema
Jest różnica — powiedz!

„Ja nie lubię nigdy wglądać
W cudze interesa —
Lecz to samo — twierdzę — wnosi
Żona jak metresa!

I ma każda z nich tosamo
(Jak — to faktem nagiem)
Różnią się zaś obie tylko
Dodatkiem: posagiem!....

⊙⊙⊙

Z krakowskiego tramwaju.

Z powodu częstych karamboli, jakie miały miejsce między dorożkami i wozami kolei elektrycznej, jak również celem uproszczenia manipulacyi przy wydawaniu biletów, ogłosiła Dyrekcya następujące rozporządzenie:

„Celem uniknięcia nieprzyjemności, uprasza się P. T. Podróżujących, aby mieli zawczasu przygotowane tak pieniądze za przejazd jakoteż i kości. Reklamacye nie będą uwzględniane.

Z PAMIĘTNIKA PCHEŁKI.

Jako młoda jeszcze pchełka
Miałam pociąg do blondynek,
I me żądło, jak igiełka,
W targ puszczałam na ich rynek!

A poznałam w owym czasie
Panią Helę, cudne dziecko,
(Pchła wszak na tem dobrze zna się)
I krew piłam jej zdradziecko!

Lecz rozkoszy mojej na niej
Prawie wciąż się rwała przędza —
Ja używam, a tu panie
Właśnie wtedy mąż mnie spędza!

Więc przeklęłam los fatalny
I biust pięknej tej kobietki,
Mając pomysł kapitalny
Popróbować raz brunetki!

Bez namysłów długich zatem
Pożegnałam panią Helę
I z brunetką, istnym kwiatem
Me rozkosze dotąd dzielę!

Lecz tu gorzej mi jak w piekle!
Wpadłam z deszczu jak pod rynny:
Tam mnie spędzał mąż zaciekle,
Tu co chwila znów ktoś inny!...

⊙⊙⊙

Z Konstantynopola.

Pan byłeś lekarzem u komendanta eunuchów sułtańskich.

— Tak jest, lecz już straciłem miejsce!

— I to z powodu?

— Zapytałem go raz, *co mu brakuje*, a on to wziął za kpiny i napędził mnie ze służby, mówiąc: „Ładny mi doktór, skoro nic nie wie!

Profesorskie „kwiateczki“.

— Kret wychodzi często na powierzchnię ziemi, skoro jednak zobaczy, iż nie widzi, wraca napowrót do swej nory.

— Co zdziałać może małpa, która nie posiada duszy, to zaraz panom przedstawię.

— Kropla tego lekarstwa, wtarta na język psa, zdolną jest zabić najsilniejszego człowieka.

— Kurakaku posadzony został na tronie, choć nie czuł żadnej potrzeby....

— Cezar zwyciężył Aryowista dopiero w czwartym rozdziale...

— Arystoteles zajmował się życiem wszystkich zwierząt i stąd pochodzi ten wpływ, jaki i dziś jeszcze na nas wywiera.

Ma słuszność.

W pewnej galicyjskiej szkółce wyznaniowej opowiadał rabin o sądzie ostatecznym:

— I będzie wielkie zbiegowisko, a ludzie będą się schodzili z wszystkich stron. I odbędzie się wielki sąd. I będzie wiele płaczu i narzekania, a to nie będzie miało końca, ale będzie trwać całą wieczność!

Na to mały Srulek trącając brata w bok, powiada doń szeptem:

— Mojsiuniu, to całkiem tak, jak na wyprzedaży u naszego tatele!

W szkole.

— Kleksiński! Ksiądz katecheta znowu mi się skarżył na ciebie. Bój się Boga chłopcze, popraw się, póki czas, już tyle razy ci mówiłem, iż bez religii nietylko nie pójdziesz do nieba, ale nawet nie dostaniesz się do czwartej klasy!

Między służącemi.

— No jakże Kasiu podoba ci się nowa służba?

— Wiesz moja droga, już podziękowałam i szukam nowego obowiązku...

— A to dlaczego?

— Ano wyobraź sobie, pan i panicz tylko ciągle gonią za kucharką... do pani chodzi jakiś oficer, a i ten ani się na mnie nie spojrzy, bo pani strasznie zazdrosna.



Ferdek Eleuteryk.

A tom ci sie brachu najod strachu, niczym gudłaj cebuli w siabes. Jak w sobote hukneło tak od onygo czasu furt mi sie trzensom ze strachu zęby i jeszcze część moij cielesnyj powłoki. Choć dyszcz kapoł poknajołem w ten mig na rynek żeby sie dowiedzieć, co w trowie piszczy. Spotykom Makolągwe, ale on som nic nie wi, ino pedo, że to pono magnezyja tak strzelnyła pod biskupim pałacem, gdzie Feldman chcioł Fotografować Puzyne i Słowackiego. Rzne galopem na miejsce i dziwie ci sie, że tu cicho, nima Nowotnygo, ani Stempińskigo ze śprycą, to tyż nima nijakij parady. Ledwie ruszyłem ku Grodzkij, patrze i oczom nie wierzyć! Moja Mańka zakasała kiecki i szzuruje prosto ku Podgórzowi. Pytom dokąd tak knaje, a ona mi pedo, że godali w cygar fabryce jako pieron strzeluł w kondochtora, to pewnie od tramwaja, a ona mo tam brata, ino z inszygo ojca i z inszyj matki, więc sie okropicznie o niego przestrachała. Godom jij, że w kondochtora to pieron nie strzeli nigdy, chyba że mo zardzewiały koniec, ale ona nie dała se wytłumaczyć i poknajała na podgórski most, a jo poszedem do Siapsi, tam sie bowiem schodzom woźni od sądu i z magistratu i jensze polityki, to człek dowi sie coś pewnygo.

Djabła! I tu nic nie wiedzom. Jeden godo, że to na Podgórzu zapolul sie śnig, co ci go jakiś gudłaj zbiroł i suszuł przez całom zime, żeby go w lecie sprzedawać zamiast soli, inny znowu skomli, że we Wieliczce zawaliła sie kopalnia, a był i taki, co godoł, że widzioł na własne kapowidła jak wieża Maryacka wywaliła się do Wisły, co miało mieć związek z Boroskom (ale nie z tą tłustą, ino z tą chudą, co teraz miszko u świętygo Michała). Bałem się ino, czy nie ucierpiały olejandry nad Wisłom, ale mi wytłumaczuł jeden towarzysz, że oleandrom nic się stać nimoże, bo one są pod opieką Ignaca, przed którym nawet Binert ma boja i obrzydzenie, większe niż Żuławski przed Feldmanem, albo Słowacki przed Puzynom. Dopiro, kole dziewiątyj wróciła zziajana i zmęczona Mańka i uspokoiła nas, że jij konduchtor mioł cały koniec, to mu sie tyż nic nie stało, a pieron strzelul w prochownie, na któryj był żelazny konduchtor z popsutym końcem. Ponieważ byłem bojący, żeby jaki śrapnel nie ugodziuł mnie abo Mańkę, i som w Krakowie zostołem i jej wracać nie pozwolułem, bo to bardzo nieprzezpiecznie dlo dziewczyny czy też kubity, jeśliby śrapnel ugodziuł w żywot, abo jeszcze w jenszą część ciała.

Godali my se o onyj historyi z Boroskom, a kużdy, jako że do rozmaitych partyi należemy, tłomaczuł se inaczyj. Socyaliści godajom, co Boroska Lewickigo zabiła i widać majom racyom, bo sułany zahatrzyły ją zaroz pod Teligrof. Gniwała sie jedna przekupka ze Szczepańskigo placu, co kubita miała w nocy robić u meżczyzny, a jo jij powiadom: — czy pani naprowde głupio, czy ino udaje, to pani nie przypomino sobie swych młodych lat? — Baba w złość i nuż z pięściami do mnie! — A ty skurczybyku — godo — to mi bedziesz paskudziuł we famieliją? — E... idź pani — tłumacze — to se pani nie przypomino, jak pani była młodszom i procesowała sie pani ze swojom siostrom, co to była za strugolem ze Siennyj ulicy. Nie łaziła pani cięgiem za adwokatem, że sie pani i opędzić ni mógł? Tak i Borosko! I ona miała preces, to mu spokoju nie dawała! Pani, widze, co innygo miała na myśli, ale jo jezdem uczciwy katolik, choć kosmopoletyczny, to i uczciwie myśle! — A baba mi na to: Przeproszom cie Ferdek, jo cie znom, że tobie ino głupstwa w głowie, totyż myślałam, że ci chodzi o co innygo! — a ja jij znowu: — A widzi pani, jako z pani świnia! — no i tak my sie pogodzili, ale do dziś nie wiemy, kto komu strzelul, ona jemu, czy on jij. Gazeciorze majom ci klawe czasy i nożyce im pordzewiały, bo nie trzeba nic wycinać, ino cięgiem same nowe historye, aż sie pchają pod pióro.

Kłopot zato straśliwy mom z mojom Mańkom. Jak sie beskurcyjo dowiedziała, że we Widniu ministry chcom uradzić, że brzanom w nocy nie wolno pracować, tako jom cholera obsiadła, że bez dwa dni ani pyska ze złości nie otwarła, a potym jak sie rozgodała, tak na Medarda ał dyszcz przestoł padać. — To ci — powiado — zatracone chłopy, cholerniki! to bez nich mom zdechnąć z głodu? Za dnia nie zarobisz, w nocy tyż nie wolno, jade psiokrew do Widnia i wydropie ślipie i wyrwe wszystkie kłaki z brody i łysiny! A skisie sakramenckie, sami chleją siampany a nom chcom podrożyć wódke, zażyrajom sie samym masłem i muśtardom, a ty bidny andrusie zdychoj z głodu i pragninio! I gdzie tu sprawiedliwość? Jeśli nas teroz Ignac nie obroni, to nie chcemy go znać. Cało dupetacyja brzan krakoskich jedzie do Widnia do Ignaca, niech sie ujmie ich krzywdy!

I przekupki z Małygo Rynku głoszom wojne świentom, bo magistrat wyrzuca stragany a zaprowadzo ławy i parasole, a baby tego nie chcom, a jak baba czego nie chce, to tego nie bedzie, bo teroz przychodzom czasy, że baby bedom rządzić.

Niech żyje równouprawninie z brzanami! — jo pirszy wołom i bede głosować, żeby Boroskom zrobić prezydentem abo sufraganem! Zato powinny mnie zrobić choć honorowym członkiem od babskiego kumitetu, a nie zawiedom sie na mnie, czuje sie na siłach do czynu i nie zawiede oczekiwań.

Niech żyją brzany aż do śmierci!



FORTUNA VARIABILIS.

Gdy była jeszcze młodą,
Kokota w wielkim stylu,
Huk miała wielbicieli,
Lecz sama nie wie ilu?

Jednego usidlało
Spojrzenie jej gorące,
I dawał jej „na szpilki“
Miesięcznie dwa tysiące.

A po nim przyszli inni
(Litania jest ich cała)
Lecz od nich już „na szpilki“
Mniej coraz dostawała.

A dzisiaj tak zrządziła
Jej losów konjunktura,
Że *szpilki* — ma za darmo,
A szpilki — *in natura!...*

Z Węgier.

Minister Kossuth przybył do jednego ze swych przyjaciół politycznych w odwiedziny, a przechodząc przez pokój dzieci, zastał je bijące się na ziemi i krzyczące w niebogłosy. Lajosz rwał włosy z głowy Aranki, ta kopała małego Belę, ten znów podstawiał nogę Arpadowi. Widząc taki tumult, a nie wiedząc, coby to miało znaczyć, pyta wujcio Kossuth:

— A pfe dzieci! Czy to wypada się tak kłócić i bić?

— Kiedy my wujaszku nie kłócimy się, tylko bawimy!

— A w co się tak bawicie?

— W *koalicyę!* — brzm odpowiedź ośmielonego Lajosza, który niezawodnie wyrośnie na dzielnego polityka.

* * *

— Ja bardzo wątpię, czy Kossuth będzie mógł objąć obowiązki prezydenta ministrów, on jest przecież ciągle chory! — rzecze jeden z węgierskich mężów stanu.

— E... tak znowu chory nie jest! — odparł z przekonaniem drugi.

Pod wpływem opery.

— Jak twej żonie na imie?

— Halka.

— Halka? A poprzednim dwom małżonkom jak było?

— Obie Halki!

— Więc to jest Halka w potrójnej obsadzie!



Ludzki basza.

Szewket basza: Niepotrzebnych okrucieństw przy egzekucyach należy unikać. A co tam z nowemi szubienicami?

Adjutant: Ekscellencyo, funkcyonują znakomicie!

Szewket basza: Wiele osób można równocześnie powiesić?

Adjutant: Dwieście sześć, jeśliby jednak miały wisieć wygodnie, jak sobie tego ekscellencya życzy, to tylko cztery!

NAJLEPSZY KOCHANEK.

— „Kochanków miałam dużo“ —
(Myśl przyszła raz kokocie)
Ten — chciał wierności mojej,
Ten — mówił mi o cnocie.

Ów idealizował
I czcił mnie niby bóstwo,
Dla mej miłości inny
Niejedno robił głupstwo.

Najlepszy z nich pan Adolf!
Taktyka jego inna:
Nie pyta o *niewinność,*
Lecz ile jestem *winna?*

Strejk pocztowców.

(W formie doniesienia dziennikarskiego).

Telegrafują nam z Paryża, że z Paryża z powodu strejku telegrafować nie można!

Na letniem mieszkaniu.

Pan X. wynajął sobie letnie mieszkanie na wsi, by odpocząć po trudach i kłopotach życia wielkomiejskiego. Lokal był wcale znośny, cena, jak na nasze stosunki dość przystępna. Gdy już omówiono warunki i pan X. zapłacił z góry jednomiesięczny czynsz, nowy gospodarz podaje mu pudełko. Sądząc, że to tabaka, odpowiada przybysz:

— Dziękuję bardzo, ale ja nie zażywam tabaki!

— To nie tabaka, panie łaskawy — odpowiada zagadnięty — to proszek na owady; ten się panu zda z pewnością!

EGOISTA.

W poślubnej ich podróży
Wśród innych uciech wielu,
Największą przyjemnością
Jest dla nich — stać w hotelu...

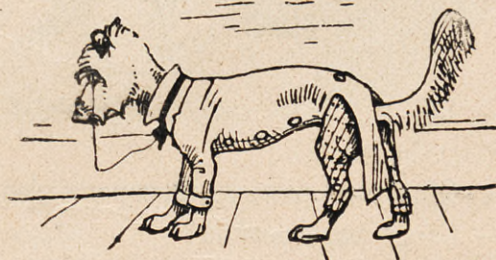
Całusy, szepty — słychać
Z numeru w nocnej porze,
Aż sąsiad się uskarża,
Że przez nich spać nie może!

Tłomaczy rzecz tę portyer
Przed którym gość się żali:
„Pan spać nie może?... Dobrze!
Lecz oni też nie spali!...“

Ze względu na pogodę.

Ojciec (czytając w gazecie przepowiednie zakładu meteorologicznego): Jutro w Galicyi zachodniej oziębi się powietrze, nocny przymrozek nie wykluczony...

Mały Jaś: A to dobrze: To pewnie już nie długo będziemy mieli Boże Narodzenie!





— Pani wybaczy, że panią zaczepiam, ale ja jestem nie tutejszy...
— No, to co z tego?...
— Więc nie wiem, gdzie pani mieszka...



— Jeteś pan teraz, jak ów osiołek w bajce, co to zdechł...
— Bądźcie panienki spokojne — ja się tam nie będę namyślał tak długo...



— Bój się Boga, mój mąż widział, jak od ciebie wychodziłam!...
— Głupstwo! powiesz, ża zapomniałaś... tego...
— Czego zapomniałam?
— Czego? Powiedz, że zapomniałaś u mnie wczoraj gorsetu...



— Moja córko, a pamiętaj, że po ślubie...
— Niechno mama się nie natęża, bo mnie się zdaje, że jabym mamę jeszcze niejednego nauczyła...



— No i jakże się czujesz moja dziecino?
— Jak z pala zdjęta!



— Tańczysz pani tak bosko, że poszedłbym z panią do piekła!
— Tam za gorąco — chodź pan lepiej ze mną do jubilera!



— Mnie pan na kwiatki nie weźmiesz — ja muszę widzieć co innego!
— Cierpliwości moje dziecko, co innego także zobaczysz!



— Żeniąc się z tobą, spodziewałem się czego innego po tobie...
— Mój kochany, ja się także po tobie czego innego spodziewałam...

Z MANEWRÓW.

W pewnej wiosce stał batalion
Wojska na kwaterze —
Nieprzyjaciel symulował,
Że wieś szturmem bierze!

Więc załoga z bronią w ręku
Wyszła zaraz w pole
I wieczorem przebiegają
Całą wieś — patrole!

I dziewczynę jakąś spotkał
Pewien kapral młody,
Gdy do rzeki szła z konewką,
Aby nabrać wody!

— „Stój! — zawołał — i udaje,
Że do dziewki strzela
— „Czyś przypadkiem nie widziała
Gdzie nieprzyjaciela?“

— Tak! — widziałam — rzekła z strachem
Jednego z rekrutów,
Jest w stodole bez kabata
Szabli i bez butów!

— „Ilu ich jest? — indagacya
Znów zabrzmiała ostra —
— Tylko jeden!... pilnuje go
Moja starsza siostra!



Na plantacyach.

Żołnierz: Do widzenia panno Kasiu, muszę się spieszyć, gdyż mój lajtnant jest bardzo gwałtowny i gniewa się, jeśli na mnie choć chwilkę dłużej czeka!

Kasia: Do widzenia. Nie zatrzymuję pana, bo ja wiem o tem, że wojskowi są bardzo niecierpliwi. Tak samo ten młody porucznik, który mieszka u nas na drugiem piętrze.

Z relacyi egzekutora.

— W dniu 15 czerwca miałem na polecenie tutejszego sądu powiatowego wykonać zajęcie egzekucyjne ruchomości Kalasantego Przyszczypka, szewca, zamieszkałego przy ulicy Pędzichów. Tenże sprzeciwił się temu gwałtownie i wołał za mną, że mogę go pocałować... Aby módz przedsięwziąć tę czynność, musiałem zażądać interwencyi władzy bezpieczeństwa.

Duma mamy.

— A co kochana pani Walentowa, czy u pani dziś jakie święto?

— A bo co?...

— No bo widzę, że wieczór już trzeci jakiś nieznajomy pan wychodzi z pani mieszkania...

— E... nie! Ino widzi pani kochana, moja Hania skończyła dziś *czternaście lat* życia!

W buduarze kokoty.

— No... a tom się ubrała! Widzę dopiero teraz, że mój nowy przyjaciel jest dziennikarzem, a ci panowie przyzwyczajeni są do gratisowych biletów...

Na plantacyach.

— Wiesz Zosiu, że sprawa turecka gotowa nam w paskudny sposób zaszkodzić!

— Ciekawa jestem, w jaki sposób może u nas w Krakowie wywrzeć jakiś wpływ?

— No prosta rzecz! Po zamknięciu i rozpędzeniu haremu sułtańskiego, wyobraź sobie tylko, ile kobiet bez zajęcia rozjedzie się po świecie. Myślisz, że i do Galicyi która nie zawita?

Po powrocie z Krakowa.

Podlotek: Te panienki, które uczą się razem z wami na uniwersytecie są, zapewne wszystkie brzydkie.

Brat akademik: Przeważnie. Ładniejsze, już się prawie wszystkie *wyuczyły!*

Nasze pociechy.

Do Krakowa przybył wujaszek, aby odwiedzić swego siostrzeńca, który uczęszczał tutaj do trzeciej klasy gimnazyalnej. Wujaszek zaprosił chłopczyka do Hawełki, gdzie zabawił kilka godzin. Gdy późnym wieczorem wyszedł z tamtąd, rzekł sam do siebie:

— Hm... nie znam Krakowa i nie wiem gdzie się ruszyć... Co tu zrobić z czasem po odprowadzeniu smarkacza do domu!

— Niech się wuj nie kłopocze — przerywa chłopak z filuterną miną — znam parę adresów, gdzie będziemy się mogli doskonale zabawić.

Co to jest kwestya kobieca?

(Odczyt p. Ric- Szciołowskiej).

Sala wypełniona po brzegi. Dużo córek Izraela, petechatych, sensacyjnych, słuchaczki i nie-słuchaczki uniwersytetu, panienki w wieku od 15—17 lat, wszystko rozgorączkowane, w sali ciepło, czuć zapach perfum i potu.

Wchodzi prelegentka.

Szanowne zgromadzenie!... Co jest kwestya kobieca? Na razie na to pytanie nie odpowiadam, gdyż myślę, że każda z pań po moim odczycie sama to sobie jasno wytłomaczy! Gdyż właściwie mówiąc prawdę i tak między nami, „kwestya kobieca“ jest „kwestya męską“. *(Brawa i przeciągłe westchnienia — prelegentka pije pierwszy raz wodę).* Z tego zaś wynika, jak już jasno wyłożyłam, że „kwestya męska“ jest „kwestyą kobiecą“! *(Brawa — prelegentka pije drugi raz wodę).* Przez kwestyę męską, rozumiemy zaś to *(tu prelegentka spojrzała na kilku członków męskich znajdujących się na sali),* aby mężczyzn umoralnić! *(Huczne i przeciągłe brawa — prelegentka pije po raz trzeci wodę).* Tak! dobrze powiedziałam — umoralnić i uetyczyć! Bo jeżeli mężczyźnie wolno mieć różne stosunki przed i po ślubie, to dlaczego ma być kobieta od tego wykluczoną *(przeciągłe i niemilknące brawa— wszystko poruszone, oczy błyszczą — prelegentka pije po czwarty raz wodę).* Mężczyzna jak tylko zapłaci *(głos męski z końca sali: nawet w ratach miesięcznych)* jest już uczciwym! *(Głosy:* tak! tak!) Sądzę więc, że i szanowne zgromadzenie nic przeciwko temu niema?... *(Głosy:* rozumie się! *Jakaś panna woła:* Zgadzam się!) Teraz zapewne każdy rozumie, co to jest „kwestya kobieca“ a co „kwestya męska!“ *(Głosy:* tak! tak!) Na tem więc kończę mój odczyt!... *(przeciągłe brawa, wszyscy biegną i winszują prelegentce, która pije wodę po raz piąty, poczem wszyscy zbudowani odczytem wychodzą).*

Wyrównało się.

— Słyszałam Zdzisiu—mówi ciocia—że coś *tam* przybyło w waszej familii!

— E... co mi tam za przybytek — odpowiada Zdziś, według zdania papy materyał na genialnego człowieka, jeśli już nie na Edisona lub Kopernika, to przynajmniej na jakiego radcę dworu.— Te pare funtów, które przybyło, to akurat mama straciła na wadze.

I to prawda.

— Panie Pantofliński, pańska pierwsza żona maltretowała pana, ożeniłeś się potem z jej siostrą. I ta była podobno z piekła rodem, a pan nie nauczony doświadczeniem, chce się jeszcze z trzecią siostrą żenić? Ja tego nie pojmuję!

— Et... zważ łaskawco, że w ten sposób mam tylko jedną teściową!

Nie stracił fantazyi.

Profetor chemii wykładał swym uczniom o właściwościach kwasu węglowego, w atmosferze którego żadne zwierzę żyć nie może, lecz się dusi. Jako dowód umieścił żabę pod szklanym dzwonem, z pod którego wypompował powietrze, w miejsce którego napuścił kwasu węglowego. Po niejakiej chwili rzecze do słuchaczów:

— No, moi panowie, żaba już nie żyje!

Jakby na zaprzeczenie tych słów, żaba rzuciła się pod kloszem.

— Żyje jeszcze! — zawołali słuchacze.

— Mylicie się panowie — odparł profesor z powagą — ona już z pewnością nie żyje, lecz z powodu swej niskiej intelligencyi nie wie jeszcze o tem.

W haremie.

— Mój basza twierdzi, że jest Młodoturkiem! Bezczelna blaga! Muszę zdradzić partyi, jak on bezczelnie kłamie!

Enfant terrible.

— Panie mój złoty, niech mi pan pokaże jaką sztukę.

— Nie umiem żadnych moje dziecko.

— E, pan musisz umieć piękne sztuki.

— Dlaczego?

— Bo jak pan przychodzi to mama mówi zawsze: znowu przyszła ta stara małpa!

Najautentyczniejsze facecye.

W pewnym miasteczku garnizonowym w Prusach, był komendantem pułku jeden z książąt panujących, który właśnie raczył się najmiłościwiej ożenić. Po przybyciu małżonki zarząd miasta urządził wspaniały festyn na jej cześć, na który zaproszono wszystkich miejscowych honoracyorów. Księżna kilku z nich zaszczyciła łaskawie rozmową, najsympatyczniejszym wydawał się jej prezydent miejscowego sądu i znim też wdała się w dłuższą pogawędkę, w czasie której oświadczyła chęć zwiedzenia miejscowego więzienia. Książę małżonek, który stał obok, nie dosłyszawszy dokładnie życzenia, po odejściu jej ku innemu dostojnikowi, zapytał prezydenta, czego żądała jego małżonka.

— Jej książęca mość racrzyła najmiłościwiej wyrazić życzenie zwiedzenia miejscowego domu kary! — odparł tenże z uniżonym ukłonem.

— Hm!—zauważył książę małżonek — czy to jednak nie będzie wielki zaszczyt dla więźniów, jeśli jej książęca mość we własnej osobie, że się tak wyrażę własnoręcznie....

— Jeśli wasza wysokość rozkarze, incognito jego dostojnej małżonki zostanie zachowane. Sądzę jednak, że krok dostojnej pani będzie miał najlepsze skutki i wpłynie na więźniów bardzo dodatnio!

— Tak pan sądzi ekscellencyo? No to dobrze! Ale mój drogi panie prezydencie, proszę się postarać, aby księżna pani nie zetknęła się z motłochem, proszę ją zaprowadzić tylko do cel, w których siedzą niewinnie skazani,

— Podług rozkazu waszej książęcej mości!

Przy Morskiem Oku.

— Słuchaj Rebeka, jak to dobrze, że my tu przyjechali! Jak ja się popatrzyłem na tegi Morskie Oczy, to ja sobie zaraz przypomniałem, że jutro potrzebuję sobie wieczór wymoczyć nogi!

Z odpowiedzi redakcyi.

Pan X. Y. Z.: Zapytuje pan, czy utwory swoje ma pan pisać, tylko na jednej stronie, a drugą zostawić wolną.... Łaskawco! dobrodzieju! nam byłoby najprzyjemniej, gdyby pan obie strony zostawił czyste.



ZAUFANIE DO CIOTKI.

Gdy przyszła — jak przyrzekła
Do mego pokoiku,
Uścisków i całusów
Oddałem jej bez liku.

Gdym pierwszy raz całował
Dziewczynę zuchowatą,
Krzyknęła: „Gdyby widział,
Cóżby powiedział tato!“

Po drugim rzekła do mnie:
„Doprawdy! Nie wiem sama,
Coby mówiła na to
Ujrzawszy mnie tak — mama?!“

Po trzecim rzekła wreszcie
Dzieweczka moja słodka:
„Ach! Coby powiedziała,
Zastawszy mnie tu — ciotka?!“

Ze wszystkich jej skrupułów
Ostatni snać coś wartał —
Po owych trzech całusach
Dziś mija trzeci kwartał!

Rzecz o tych trzech całusach,
By uspokoić serce,
Zwierzyła wyjątkowo
Swej ciotce... akuszerce!...

⊙⊙⊙

Na deptaku w Krynicy.

Na przechadzce po deptaku krynickim spotykają się dwie panie, które niedawno dopiero zawarły ze sobą bliższą znajomość.

— Więc kochana pani jest także wdową? — pyta jedna z nich — i jak też dawno, jeśli można wiedzieć?

— Dopiero od roku, a pani łaskawa?

— Ja już od sześciu lat!

— Co pani mówi? Od sześciu lat? Moja droga! Niechże mnie pani objaśni, co pani właściwie robi, że pani dotąd nie ma dzieci?

Enfant terrible.

4-letni Adaś: Ci to pławda Ziosiu, zie twoją mamę zelznął wcolaj twój tata?...

4-letnia Zosia: E, ale i twojemu tacie sie psi tej sposiobności tys poziądnie obelwalo kijem!...

U adwokata.

— Nie pojmuję, proszę pani, dlaczego pani po sześciu miesiącach już się chce rozwieść ze swoim mężem? Przecież to taki przystojny, elegancki mężczyzna... prawdziwa ozdoba salonu...

— Ależ mój panie mecenasie, tu się nie o salon rozchodzi, tylko o inny pokój...

— Aha... przepraszam bardzo — chyba, że tak...

Zadanie pensyonarki.

W 7-ej klasie szkoły żeńskiej w ..... otrzymały uczennice jako temat do zadania domowego: „Co to jest poeta?“

Otóż jedna z uczennic 7-ej klasy, wypracowała owo zadanie w następujący sposób. Zadanie to, jako autentyczne, bez żadnych zmian przytaczamy:

— Co to jest poeta?

— Poeta jest to taki człowiek, który na prędkości siada i robi coś — ale nigdy, kiedy mu każą — tylko kiedy mu się chce. Jan Kochanowski był taki poeta — który miał pewne drzewo zwane lipą, pod którym chętnie siadywał i tam się ożenił, był łagodnego charakteru i nie wychodząc w pole miał siedmioro dzieci.

Ostatnia próba.

...„Kochana żono! Wracaj natychmiast — czeka na ciebie twoja krawcowa!...“

W gabinecie.

— Mój panie, zdaje mi się, że pan się pomyliłeś! Ja kolacyę mogę zjeść — ale nic więcej...

— Przecież ja bynajmniej nie wymagam, abyś pani jadła jeszcze więcej...

Komisya szacunkowa.

(Widzenie z niedalekiej przyszłości).

Ponieważ, jak doniosły gazety codzienne, pan minister Biliński celem połatania austryackich finansów postanowił zaprowadzić podwyższenie podatku osobisto-dochodowego dla kawalerów o 15%, dla osób zaś mających tylko jednego osobnika na utrzymaniu o 10%, w ślad za tem postanowiono utworzyć nowe komisye szacunkowe do wymiaru tego podatku. W skład komisyi dla podatku kawalerskiego wejdą same stare panny, które w ten sposób będą miały pewną rekompensatę za to, iż nie danem im było zaznać przyjemności i słodyczy małżeńskiego pożycia, dla komisyi zaś wymierzającej podatek tym, którzy tylko jedną osobę mają na utrzymaniu, będzie komisya mieszana. Obrady będą ściśle poufne, podobnie jak obrady Koła polskiego w Wiedniu, o których wiedzą w godzinę po posiedzeniu korespondenci wszystkich wiedeńskich dzienników.

Godzina 10 rano: komisya się schodzi do sali obrad. Przewodnicząca, panna Sufrażyńska przynosi ze sobą kotka i papugę, panna Obmownicka robótkę, panna Wszędobylska książkę do czytania. Prowadzi pióro (ale stalowe, nie od kapelusza) panna Mężolubska, doktorka obojga abecadła i prezesowa towarzystwa antikawalerskiego. Wobec tego, iż obrady są poufne, na galeryi tylko czterdzieści dziewięć pań, które jednakże musiały złożyć ślubowanie, iż nie pisną ani słowa o tem, co tu będą widzieć, lub o czem słyszeć. Punktualnie o godzinie $11\frac{1}{2}$ rozpoczyna się posiedzenie, zwołane na godzinę 8 rano, gdyż napróżno czekano na panią Roztrzepańską, która nie mogła przybyć, dostała bowiem ataku nerwowego po scenie z mężem-tyranem, z powodu nie przyszycia temuż guzika do kamizelki.

Przewodnicząca: Otwieram posiedzenie i wyrażam ubolewanie, iż koleżanka nasza nie mogła się zjawić. Mamy nowy dowód, do czego prowadzi tyrania mężczyzn i sądzę, że potrafimy zaraz dziś pomścić naszą towarzyszkę!

Chór: Naturalnie!

P. Obmownicka: Proszę o głos! Protestuję stanowczo przeciw powołaniu pani Roztrzepańskiej, już nie dlatego, iż jak panie same wiecie, ma bardzo zaszarganą przeszłość, co mogę zresztą każdej z was w sekrecie opowiedzieć, ale proszę mi powiedzieć, skąd wzięła się między nami mężatka, skoro ustawa wyraźnie powiada, iż komisya ma się składać ze samych dziewic!

Chór: Tak jest! To znów intryga mężczyzn. Wpakowali nam mężatkę, aby przez nią dowiedzieć się o toku rozpraw. Protestujemy!

Przewodnicząca: Zanotowane do protokołu. Przystępujemy do obrad. Mamy tu fasyę podatkową pana Gryzipiórskiego...

P. Mężolubska: Proszę o głos! Czy panie słyszały, co się wczoraj stało na Podgórzu?

Wszystkie razem: No... no! Niech pani opowie!

Przewodnicząca (dzwoniąc): Do rzeczy moje panie! Co się stało na Podgórzu, to nas nic nie obchodzi, my mamy się zająć wymierzeniem podatku panu Gryzipiórskiemu...

P. Wszędobylska: Protestuję! Pani przewodnicząca nie ma prawa teroryzować nas!

Chór: Tak jest! To jest obrzydliwe!

Przewodnicząca: Przywołuję panią do porządku! Panna Wszędobylska pozwala sobie za wiele. Na to nigdy nie zezwolę! Ja moje panie odnoszę się do was, współtowarzyszek niedoli z macierzyńską troskliwością...

Chór: Obejdzie się... skąd zresztą pani, sama będąc podobno panną, zna się na macierzyńskich uczuciach.

Przewodnicząca (dzwoniąc): Tylko bez osobistych wycieczek! I o każdej z pań dużo można by powiedzieć! Wróble na dachu o tem śpiewają. Zresztą odbieram paniom głos. Panno Mężolubska proszę to zanotować do protokołu...

Chór: Nie pozwolimy sobie odebrać głosu! To jest bezczelność! Na coś podobnego może się zdobyć tylko stara panna.

Przewodnicząca: A wy nie jesteście staremi pannami? Chyba, że która może nie, proszę się zgłosić, a zaraz każę to zanotować do protokołu i wykluczę panią odnośną od obrad. Jeśli ustawa wyraźnie mówi, iż tylko panny mogą brać udział w obradach, będę żądać dowodów panieństwa od każdej z uczestniczek. Panno Mężolubska proszę wyłożyć odpowiedni paragraf i zanotować to do protokołu!

Galerya: Bardzo słusznie! Prosimy dowodów!

Przewodnicząca: Jeśli galerya natychmiast się nie uspokoi, każę ją opróżnić.

Głos z galeryi: No... no... spróbuj tylko... zaraz ci oczy wydrapię!

Przewodnicząca (dzwoniąc z furyą): Woźny, puścić na galeryę kilka myszy!

Galerya: Nie potrzeba... nie potrzeba... już będzie spokój!

P. Wszędobylska: Co?... Tu są myszy?... Ach słabo mi... wody... mdleję!

Przewodnicząca: Niech się pani nie boi, ja mam tu kota!

P. Wszędobylska: Co?... Kota?... Gwałtu, a może wściekły?

P. Obmownicka: Prędko... prędko... weterynarza!

Przewodnicząca: Nie wolno! Mężczyznom na salę wstęp wzbroniony, a kobiet-weterynarzy dotąd niestety niema!

P. Obmownicka: Kiedy ja chcę weterynarza! Jak mi się chce, to nikt na to nie poradzi...

Przewodnicząca: No jeśli nikt nie poradzi, to i weterynarz nie da rady! (dzwoni) Moje panie, zacznijmy już raz obrady! Mamy tu fasyę podatkową...

PP. Obmownicka, Wszędobylska, Mężolubska: Ani myślimy! Protestujemy! Prosimy o zanotowanie do protokołu!

Przewodnicząca dzwoni bezskutecznie, galerya poczyna się niecierpliwić. Z galeryi słychać głos: Gwałtu! Mysz! Siedm pań mdleje... komisya ucieka w popłochu, przewodnicząca zamyka posiedzenie i odracza obrady do jutra.

(Jutro *da capo al fine*).



A to kawał.

— Cóż ty mój zięciu wracasz do domu dzisiaj taki rozkoszny i uśmiechnięty, jakim cię od trzynastu lat nie widziałam?

Zięć (krzywiąc się, ujrzawszy teściowę): A... a... bo mi powiedziano na ulicy, że mamcia zleciała ze schodów i ręce i nogi połamała — i... i dopiero teraz widzę... że... że to był kawał...

Trudne położenie.

W austryackiem ministerstwie wojny zapanowała konsternacya z powodu ofiarowania na rzecz państwa przez syndykat Fahrmanowski aeroplanu, który okazał się bez wartości. Ministeryalni dygnitarze zastanawiają się obecnie, czy mają syndykatowi złożyć podziękowanie za ten cenny podarunek, czy też ścigać go sądownie za wprowadzenie w błąd władzy.

W Zakopanem.

Młode małżeństwo spędzało w Zakopanem miodowe miesiące. Pewnego razu przybył do nich w odwiedziny znajomy z Krakowa, a małżeństwo przyjęło go, jak to mówią, z otwartemi rękami. Młoda para chwaliła wszystko, powietrze, okolicę, towarzystwo, a przedewszystkiem mieszkanie.

— Wyobraź sobie Stachu, co to za roskosz, codziennie rano widzę z łóżka Giewont... — powiada młody małżonek.

Gość, który znał dobrze Zakopane, okazuje jakoś zdziwienie, pokój bowiem, w którym stało łóżko pana, ma akurat okno wychodzące w przeciwną stronę. Zakłopotanie spostrzega wnet pani domu i powiada z uśmiechem:

— Proszę się nie dziwić, to z mojego łóżka widzi Kazio codziennie Giewont!

U święta naiwności.

Pan majster Kopytkiewicz, znakomity mistrz kunsztu szewskiego, prowadził proces, w którym stronę przeciwną zastępował jeden z młodych krakowskich adwokatów. Pan majster był oburzony na przeciwnika, iż gdy potrzebował od niego jakiegoś aktu, posłał doń ośnastoletnią córkę, a sam nie poszedł.

Gdy córka powróciła załatwiwszy żądany interes i pytała kto jest ten pan, rzekł ojciec ze wzgardą:

— To jest nasz największy nieprzyjaciel.

— Ej... zdaje mi się, że tatuś jest w błędzie. Jakże on może być naszym nieprzyjacielem, skoro mnie tak serdecznie wycałował?....



Pocieszył go.

Ojciec jednego z krakowskich akademików, przybył do wawelskiego grodu w odwiedziny do swego synka. Ponieważ synek był uprzedzonym o przybyciu papy, zastał go ojciec w mieszkaniu, studyującego pilnie pandekta. Dobrze dla swej pociechy z tego powodu usposobiony, powiada ojciec:

— Wiesz co, połóż tę robotę i chodź ze mną do Hawełki na piwo! Będziesz mi mógł przy tej sposobności powiedzieć coś o swych długach.

— Ej... boję się tylko, czy tacie przed obiadem tyle piwa nie zaszkodzi?

Z prawdziwych zdarzeń.

Prokurator państwa w mieście X. w Galicyi, był zapalonym preferansistą i codziennie wieczór musiał mieć swoją partyjkę w kasynie. Pewnego razu gra przeciągała się nieco dłużej, a pan prokurator dopiero nad ranem powrócił do domu i nie miał czasu wyspać się porządnie, gdyż o ósmej rozpoczynała się rozprawa, przy której oskarżał jakiegoś rzezimieszka. W czasie rozprawy marzy pan prokurator o ciepłem łóżeczku i wczorajszej partyjce. W tem, po ukończeniu postępowania dowodowego odzywa się przewodniczący:

— Udzielam głosu panu prokuratorowi!

— Ja i a...pas! — odpowda tenże, zapominając na chwilę o swej roli srogiego stróża ustaw państwowych.

Autentyczne.

Gdy zbliżała się ostatnia godzina życia jednego z wieśniaków, który cały prawie majątek stracił procesując się ustawicznie, poprosił on żony, by posłała do najbliższego miasteczka po dwu adwokatów. Nie pytając o przyczynę, uczyniła małżonka zadość woli umierającego i po niedługim czasie zjawili się dwaj mecenasi, pewni, że wieśniak wobec nich chce zeznać swą ostatnią wolę. Gdy weszli do izby, dogorywający wieśniak uśmiechnął się i prosił by zechcieli usiąść koło jego łóżka, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. Stało się zadość jego woli. Umierający odetchnął spokojnie, powiódł okiem po zgromadzonych i rzekł:

— Dzięki ci Boże, że spełniło się moje ostatnie życzenie i mogę umierać, jak chciałem, podobnie jak Chrystus na krzyżu, bo między dwoma łotrami!

I to były jego ostatnie słowa. Westchnął ciężko i skonał.

Książę panujący w jednym z niemieckich krajów objeżdżał swe dzierżawy. W pewnem powiatowem miasteczku przedstawiono mu duchowieństwo, korpus oficerski i urzędników państwowych. Z każdą deputacyą rozmawiał bardzo uprzejmie. Gdy w szeregu stanęli urzędnicy biura katastralnego, a marszałek dworu wygłosił ich charakter, książę niedosłyszawszy dokładnie, zapytał przewodniczącego deputacyi:

— Proszę pana, czy to jest istotna prawda, że *po tem* uzyskuje się wysoki ton głosu.

Rano na Błoniach.

— Panie Goldfasan, pański koń jest czegoś bardzo zmęczony!

— Bo on jest głodny!

— To pan nie każesz go rano karmić?

— Nie... lekarz kazał mi rano *na czczo* używać dużo ruchu!...

Dosłownie.

— Czy to prawda, że Franka obraca się teraz w wyższych sferach?

— Naturalnie! Obecnie ma stosunek z jednym kapralem oo oddziału balonowego!



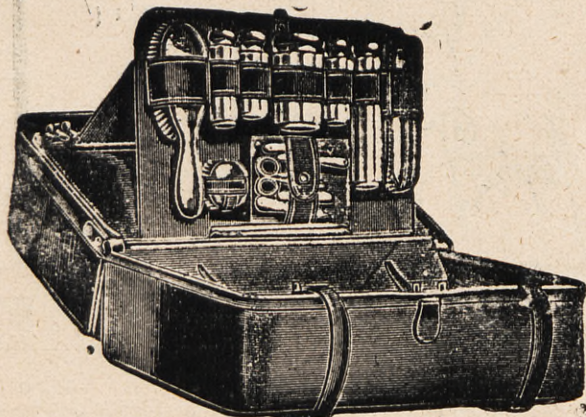




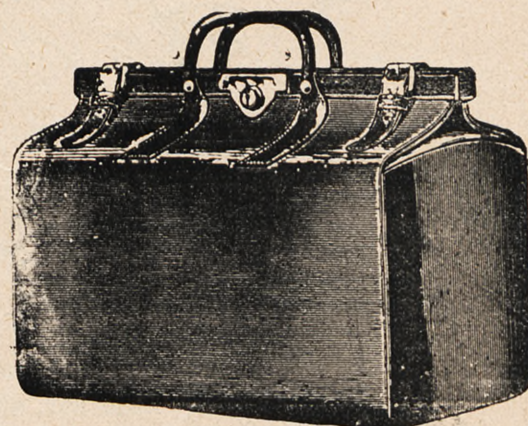












Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za redakcyę odpowiedzialny: Stefan Karczmarski. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.



— Oh! Pani wcale jeszcze nie wie, co to miłość!...
— Może być, ale mogę poprosić mego męża o wyjaśnienie...